

MOIM PRZYJACIOŁOM

ciąg dalszy:

A tak szczerze mówiąc, jest doktorem habilitowanym, hiperprogramistą, docentem i wkrótce będzie już profesorem! Jasne? Urażona nieco „dziewica-bo-hater” wzruszając pulchnymi ramionami jak polska Pyza w filmie dla dzieci, porzuciła wreszcie i mnie, wchodząc na zwalnianą akurat leżankę. Mruczała jednak pod nosem o okrutnej chłopskiej niezyczliwości dla cierpiących, podupadłych pań z dobrych domów. Pierwszy alarmowy dzwonek dotarł do mnie zaraz po południu, gdy na holu przydybała mnie niewiasta w wieku lekkopółśrednim, pytając czy mieszkam z tym sławnym docentem Wieścickim od leczenia bezpłodności, będącym tutaj incognito. Zaprzeczyłem w popłochu wszystkiemu, odszczekując mój nieszczęsny żart o przerabianiu, wypowiedziany widać nie w porę i do niewłaściwej osoby. Dzięki Bogu, nie zdążyłem się jeszcze pochwalić tą całą historią nikomu! Następnego dnia, około siódmej obudziło nas jednak obu coraz bardziej energiczne pukanie do drzwi. Zaspany Jurek, jak zwykle studiujący coś w nocy, poczłapał i otworzył. Przed nim stała otulona różowym szlafrokiem filigranowa postać jeszcze dość młodej, znanej aktorki, której komediowy genre potwierdzał właśnie ostatni przebój kinowy. Pan Wieścicki? - spytała namiętnym szeptem. Taaa...aaa, wyjąkał nieszczęsny szczęśliwiec Yyyy w czym mógłbym eeee.? Panie docencie błagam, ja tak bardzo chcę mieć dziecko!! Proszę, niech mnie pan przyjmie i pomoże, ja dla pana zrobię wszystko, niech mnie pan weźmie.. tu, od razu..., pod swoje skrzydła, prosiła, napierając delikatnie na mego całkiem zbaraniałego sąsiada. Nim odzyskał mowę, „pacjentka in spe” siedziała już na jego niemiłosiernie skotłowanym łóżku, bo męskim zwyczajem oba nasze krzesła zawałone były stertami różnych rzeczy, które tak jak ubrania muszą być zawsze pod ręką. Nadawała jednym tchem patrząc mu w oczy z wielkim oddaniem a on wisiał nad nią w chorobliwym pochyleniu, jak jeden wielki znak zapytania, pełen jakowejś rozmodlonej, bolesciwej trwogi. Nagle, po krótkim, energicznym stuknięciu znów otworzyły się drzwi, w których stanął doktor Czerwiński, ordynator naszego piętra. Był z pielęgniarką i obrazek na jaki się natknęli całkowicie zburzył im rytuał porannego obchodu. Przepraszam eee, yy bynajmniej tego - bąknął, ale nie było mu dane skończyć tej wyrafinowanej jak widać myśli. - Panie doktorze, proszę przyjść później, powiedziała lodowatym tonem poddenerwowana wyraźnie aktorka, bo ja tu załatwiam z panem docentem dużo ważniejszą sprawę, która zadecyduje, mam nadzieję o całym moim przyszłym życiu! - Prze...ee .przepraszam pa..ba.. bar.. gorąco, nie eee wiedziałem, eee, że tak nie w porę, że tak się wyrażę. Przepraszam, że się wyraziłem,iii życzę państwu obojgu wiele szczęścia na..no.. iii... spełnienia

marzeń - wysapał całkiem już skołowaciały ordynator, cofając się rakiem do drzwi i nadeptując boleśnie za-afetowaną tym wszystkim młodziutką siostrę dyżurną. Gdy znów zostaliśmy sami w owym nieszczęsnym „trójkącie”, podwójny pierwiastek męski rozpoczął ostrożne i mozolne przekonywanie wizytującego nas solo pierwiastka żeńskiego, że wszystko to jest totalnym nieporozumieniem wynikłym z niedomówień i durnowatych działań nieodpowiedzialnych aktywistek ochotniczej „armii zbawienia”, która powstała na tym turnusie ad hoc, na naszą, to jest Jurka zgubę. Im dłużej jednak obaj przekonywaliśmy, klucząc stale, by nie urazić gościa, tym coraz bardziej byliśmy niewiarygodni w oczach walczącej o swój macierzyński etos, gotowej na wszystko kobiety. - Wiem, że panowie chcecie mieć tutaj święty spokój, ale ja - westchnęła ciężko, patrząc Jurkowi głęboko w oczy - nie mam czasu na Wersal. Za tydzień, prosto stąd jadę kręcić film „Rzeczpospolita Babska”. Jak będę miała przerwę w zdjęciach, kierownik planu zgłosi się do pana, panie docencie i przywiezie mnie do Warszawy, żeby mnie pan zbadał i coś zrobił, by mnie wyleczyć. Chyba, że do tego czasu zajdę w ciążę, w co osobiście wątpię. Nie liczę na cud! Cudem jest to, że pana znalazłam! Ci inni specjaliści to, ..szkoda słów! Dziękuję kochany panie docencie i do zobaczenia wkrótce - zakończyła energicznie, podsuwając chwiejącemu się na nogach Jurkowi rękę do pocałowania. Tego dnia przyjeśliśmy jeszcze, chwała Bogu, osiem pacjentek, to znaczy ja przyjmowałam lub raczej odprawiałem, informując, że pan docent jest chory i leży w łóżeczku.... Jurek rzeczywiście po tak niespotykanym „sukcesie” u pań dostał gorączki, połamało go i leżał odłogiem, co było „organoleptycznie” sprawdzane przez wizytujące nas panie. Następnego dnia było ich już piętnaście, w tym wszystkie te, które nawiedziły nas poprzednio, zaniepokojone stanem ukrywającego się uparcie przed nimi teraz już „profesora”. Wśród walczących o dostęp do sławnego ginekologa znalazła się nawet niewiasta, która eleganckim, kaligraficznym pismem na pachnącym bileciku informowała dyskretnie Pana Docenta, że nieważne jest, czy poczynania takiej sławy jak on zakończą się urodzeniem dziecka, ważne jest jedynie, by chciał się nią zająć fachowo, w sposób całkowity. - Cena nie gra roli, zapewniała z góry. Zgłosił się nawet jeden facet, ale tylko po to, by się upewnić, czy Jurek nie jest przypadkiem andrologiem, skoro nie chce - jak wieść niesie - przyjmować pań. Gorączka „sobotniej nocy” rosła z godziny na godzinę. Na stolówce wśród większości kuracjuszek nie było już właściwie innego tematu, przez co temperatura leżącego na łożu boleści, ledwo żywego z wrażenia ukrytego obiektu marzeń płci „słabej” też zwyżkowała. Wezwany doktor Czerwiński zamknął się z docentem w naszym pokoju i długo słuchał spowiedzi świętej ciechociń-

skiego Rasputina, przy czym sam czułem się tam najwyraźniej jak na tureckim kazaniu. Wreszcie „aby nieszczytny cudotwórca mógł w końcu „przerznąć się między szablę i groty, uciec i zmylić pogonię”, przeniesiono go w tajemnicy do zwalnianej akurat „jedyńki” vis a vis gabinetu ordynatora. Teraz ja objąłem oficjalne poniekąd stanowisko „asystenta docenta” i pukając rano panie zapraszałem serdecznie do środka, informując, że pana „profesora” nie ma, ale jest wolne łóżko i może ja coś poradzę. Reagowały z oburzeniem, co wywoływało u mnie szczenięcą radość zakłócaną jednak coraz bardziej niepokojącą myślą, czy nie jestem przypadkiem mniej atrakcyjnym mężczyzną od mego byłego współlokatora. Mina mi zrzedła, gdy nadziałem się na stosunkowo - pardon, jak mi się wydawało świeżą „acz nie do końca urodziwą panią. Wysłuchawszy z uwagą jakże dowcipnego w moim dumnym pojęciu dictum, że zapraszam... itd., skwapliwie skorzystała z oferty, łądując na wolnym łóżku z żądaniem, bym natychmiast zrobił jej dziecko... Dopiero mój iście dramatyczny wykład, że bez pisemnego skierowania od pana docenta nie wolno mi kiwnąć nawet palcem, skłonił ją do opuszczenia pokoju zwierzeń. Gdy odeszła, zostałem sam i powoli, niezauważenie, rosnąć zaczęła we mnie świadomość wewnętrznej pustki, że o zewnętrznej nie wspomnę. Dwa dni później utraciwszy już nadzieję i wszystkie odziedziczone po Jurku panie, natknąłem się jednak i ja na moje przeznaczenie. Zaniósł mnie nie wiedzieć czemu do osławionego rodzącego się tam non stop od 100 lat romansami, stołowanego „Bristolu”, tuż obok ciechocińskiej „kiczuni” czyli Jasia i Małgosi. Była godzina trzecia, co w polskich kurortach zawsze oznaczało „fajf”. („five” to tu naprawdę koniec a nie początek „balu”). Wpadłem tam dosłownie i w przenośni na apetyczną brunetkę, prawie jak Whitney Houston i od razu zaiskrzyło między nami, mimo że była oblegana przez tuzin mołojców. Nie byłem pewien, czy to „bodygardy”, ale zaryzykowałem i poprosiłem ją do tańca. Moja femme fatale tańczyła jak przedszkolak, ale nie wyczułem oporu, gdy przytulając ją, ukradkiem musnąłem ustami jej śliczne, maleńkie, pachnące uszko. Wróciliśmy już razem i gęba mi się nie zamykała. Chcąc ją oczarować, rozwijałem się intelektualnie z minuty na minutę jak motowidło, prężąc przy tym wątpliwą nieco muskulaturę i prostując na siłę by być choć trochę wyższym. Czułem „empirycznie”, że wpadłem i że z każdym krokiem pograżam się coraz bardziej. Gdy odprowadziłem JĄ na kolację do sanatorium „Grażyna”, zgodziła się bez ceregieli pójść ze mną następnego dnia na fajf. Rozmarzony wniebowzięty, powiedziałem Jurkowi - obrażonemu na mnie, nie wiedzieć czemu - o moim sukcesie z cudowną małą czarną. Namawiałem, żeby poszedł ze mną i choć raz spróbował, bez żadnych zobowiązań, słynnego polowania „u wód” na cuda natury. Bez tego jego Historia Choroby będzie niepełna. O dziwo, zgodził się bez oporów zobaczyć śliczną Carmen w ognistym tangu w mych objęciach. Następnego dnia wyruszyliśmy we troje, bo dołączyła do nas Weronika z Gdańska. Chodziła o „szwedkach”, ale zawsze marzyła o tańcu, tym bardziej, że lekarz jej to zalecił. Widząc moje słodkie bóstwo czekające przed wejściem, zostawiłem ich, biegnąc ręczno do przodu, prawie jak konik garbusek. Objąwszy czule ramieniem,

pocałowałem delikatnie w policzek moją najwspanialszą w życiu zdobycz, dyskretnie prezentując obojgu. Tańczyliśmy coraz bardziej wtuleni w siebie. Czułem jak żar przenika nasze serca, powodując drżenie zjednoczonych ciał, obiecujące teraz już niemal wszystko. Jakby w tuwimowskim przeomdleniu, przemodleniu, byliśmy coraz bardziej złączeni i senni szeptanymi słowy.. Z rajskiego ogrodu ściągnął mnie na ziemię zręczliwy, belferski głos docenta: - Dzień dobry panie poruczniku! Szacunek panie władzo! Jurek tańczył z Werką tuż obok nas wyprostowany jak kategoria „D” na komisji poborowej. Bezlitośnie kontynuował swoje podłe parlando skierowane wprost do mnie. - Panie poruczniku, pan nie ucieka! Ja do pana żalu nie mam! Pan nas łapie, namawia do współpracy, my odmawiamy, odsiadujemy swoje i dalej każdy robi, co do niego należy. A te materiały, co pan wtedy szukał były schowane w kredensie u Kuronia, nie u mnie. A tutaj to pan jest z tą panią służbowo czy prywatnie? Milczałem zdruzgotany, stercząc jak Gombrowiczowski Palić sam jeden na tym cholernym parkiecie, nienawidząc z całego serca tego zasuszonego móla książkowego, tego perfidnego, podwójnie uzwojonego mózgowo zimnego, damskiego oszusta - sadysty. Na moich oczach zamordował taką piękną, rodzącą się najświętrzą Miłość turnusu. Ugodzona prosto w serce opuściła mnie bowiem nagle na środku sali, patrząc z obrzydzeniem na moją zacerwienioną gębę. Rzuciłem się w pogoń, ale gdzie tam, nawet nie chciała spojrzeć. Następnego dnia zmusiłem cholernego docenta, grożąc mu śmiercią lub kalectwem, by warował ze mną pod „Grażyną” jak pies! Gdy nareszcie ujrzeliśmy mój mroczny obiekt pożądania, nie chciała słuchać! Żadnych tłumaczeń: ani Jurka, ani moich! Podsumowała nas krótko: Ty jesteś ubek i dla mnie już nie istniejesz, bo Mama by mnie wykleła! A ty dysydencie mankamencie też masz haka, bo wystarczy, że cię byle kto postraszy i już mówisz przy nim co ci każą! Jesteście siebie warci! Jak was los zamieni miejscami, to ci władza też odbierze rozum i zabije serce. Zresztą obaj nie macie już ani tego, ani tego! I tak polegliśmy z Jurkiem na polu męsko - damskiej chwały, odznaczeni samotnym krzyżem kawalerskim aż do końca pobytu pod tężniami. On jako zdekonspirowany konował, a ja jako zdradzony cichociemniak.

18.06.2006r. Ciechocinek Wojtek Lipczyk.
Moim Przyjaciołom - pracownikom
„Domu Zdrojowego” i „Wrzосу” dedykuję.

Gabinet Weterynaryjny

„RosVet” s.c.

**lek.wet. Małgorzata i Adam
Rosłońscy**

**ul. Słowackiego 59, Aleksandrów Kuj.
Pn.-Pt. 8-18; sobota 9-13
tel. 602 262 463 www.rosvet.pl**